GLOBALNIE · #POLITYKA NARODOWA

KONIEC AMERYKAŃSKIEGO MITU A SPRAWA POLSKA

Kacper Kita · 16 maja 2026

Ameryka przez dekady była najważniejszym punktem odniesienia dla polskich elit politycznych i intelektualnych. Być w sojuszu z Ameryką oznaczało być częścią Zachodu, a od tego nic nie było ważniejsze. To USA miało nam zapewniać bezpieczeństwo. To Ameryka fascynowała kolejne pokolenia Polaków wyjeżdżających za ocean i żyjących amerykańską popkulturą. Czy jesteśmy właśnie świadkami końca tej epoki?

Historyczne podglebie proamerykańskiego sentymentu

Polacy byli związani z Ameryką, zanim powstały Stany Zjednoczone. Za datę osiedlenia się tam pierwszych Polaków przyjmuje się 1 października 1608 r. – nasi rodacy pojawili się wtedy w kolonii w Jamestown. Wszyscy słyszeliśmy o udziale Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Mimo powstania Stanów Zjednoczonych nie doszło wtedy jednak do nawiązania stosunków dyplomatycznych, bo dwa państwa „rozminęły się" – Polska przestała istnieć mniej więcej wtedy, kiedy USA powstały i zaczęły układać sobie relacje z innymi krajami.

W XIX w. Polacy odgrywali w świadomości zachodnich narodów podobną rolę co obecnie Kurdowie. Byliśmy dużym narodem nieposiadającym własnego państwa. Współczuło nam wielu artystów czy literatów, ale politycy kierowali się oczywiście interesem swoich państw. Tak było w wypadku Francji, ale po części również Stanów Zjednoczonych. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, amerykańskie gazety relacjonowały je na bieżąco. Amerykański pisarz Edgar Allan Poe, wówczas ledwie 22-letni, chciał zaciągnąć się do oddziałów obcokrajowców ruszających na pomoc Polakom, które miały być zorganizowane we Francji – ostatecznie nie zostały. Akcję zbierania pomocy finansowej dla powstańców organizował inny pisarz, wówczas już z dorobkiem, James Fenimore Cooper. Rząd cara Mikołaja I formalnie zwrócił się do amerykańskiej dyplomacji o potępienie artykułów w amerykańskiej prasie, powszechnie przedstawiających Rosjan w złym świetle. Obietnice rozprowadzenia oświadczeń o tym, że Rosjanie nie są przedstawiani w sposób sprawiedliwy, złożył carowi ówczesny ambasador USA w Rosji, później sekretarz stanu i prezydent, James Buchanan. Powstanie styczniowe zbiegło się z kolei w czasie z wojną secesyjną w USA. Prezydent Abraham Lincoln również zdecydował się nie interweniować nijak w rosyjskie tłumienie tego zrywu, chcąc zachować wsparcie Rosji dla swojej strony w domowym konflikcie. Obawiał się bowiem, że Francja i Wielka Brytania, wówczas skonfliktowane z Rosją i krytyczne wobec jej działań w Polsce, mogłyby zbliżyć się do Skonfederowanych Stanów Ameryki.

Pierwsza naprawdę duża fala Polaków w Ameryce pojawiła się dopiero później, w latach 70. XIX w. Byli to głównie mieszkańcy zaboru niemieckiego, w którym po wojnie francusko-pruskiej rozpoczęła się inten-

sywna germanizacja i tępienie polskości. Do USA przybywali jednak z powodów politycznych i ekonomicznych mieszkańcy wszystkich trzech zaborów. Ameryka wielu z nich kojarzyła się z ideałami wolności, której nie doświadczali w prześladowanej ojczyźnie. Silna była też wiara w możliwość znalezienia lepszego życia i dorobienia się w Nowym Świecie, motywująca do emigracji za ocean również przedstawicieli innych europejskich narodów.

Odzyskanie niepodległości

Powrót Polski na mapę świata w 1918 r. również – tak jak ponad wiek wcześniej jej zniknięcie – zbiegł się z ważnymi przemianami za oceanem. Przede wszystkim trzeba odnotować, że polscy imigranci przyjeżdżający do Ameryki na przełomie XIX i XX w. byli częścią „nowej" fali imigracji, która zmieniała skład narodowościowo-religijny USA, co było negatywnie odbierane przez wielu dotychczasowych Amerykanów. Polacy, Irlandczycy czy Włosi nie byli Anglosasami i protestantami. Pojawiające się wówczas problemy skutkowały wprowadzeniem systemu kwotowego, radykalnie ograniczającego możliwość przyjazdu między innymi właśnie Polakom. Warto pokrótce odnotować pojawiające się wówczas wśród „starych" Amerykanów pseudonaukowe opracowania wykazujące niższość intelektualną czy wrodzoną emocjonalność Słowian, które miały czynić ich dodatkowo niepożądanymi. Imigracja z Polski niepokoiła również dlatego, że Polacy wyjątkowo licznie się rozmnażali. Według danych Kongresu z 1911 r. to mieszkańcy USA polskiego pochodzenia mieli najwyższy wskaźnik dzietności ze wszystkich grup narodowościowych. Co roku na 1000 Polaków przypadało 40 nowych dzieci, podczas gdy na 1000 nie-Polaków jedynie 14.

Również przyszły prezydent Woodrow Wilson – pierwszy od wojny secesyjnej i w ogóle drugi w historii demokrata, który zasiadał przez dwie nieprzerwane kadencje w Białym Domu – miał na koncie nieprzychylne wypowiedzi na temat „nowych" imigrantów. W 1902 r., jeszcze zanim wszedł w politykę, Wilson wydał książkę *Historia narodu amerykańskiego*, w której Polaków, Węgrów i Włochów nazwał „ludźmi gorszego sortu", nieposiadającymi „umiejętności, energii ani jakiejkolwiek wyostrzonej inteligencji". Później Wilson przeprosił za swoje słowa, choć można zastanawiać się, na ile szczerze, a na ile ze względu na chęć pozyskania głosów rosnącej liczebnie Polonii. Jak wiadomo, w 1913 r. Wilson został prezydentem, a w 1917 r. – wbrew swoim obietnicom wyborczym z kampanii o reelekcję – wprowadził Amerykę do I wojny światowej.

W styczniu 1918 r. Wilson wygłosił swoje słynne czternaście punktów, określających cele Stanów Zjednoczonych w wojnie. Trzynasty mówił o powstaniu niepodległego polskiego państwa z dostępem do morza. Jak wiadomo, wielkie zasługi w lobbowaniu na rzecz sprawy polskiej miał Ignacy Jan Paderewski. Sprawiedliwość wobec Polaków znakomicie wpisywała się w idealistyczny program Wilsona, promujący zasadę samostanowienia narodów. 28. prezydent USA jest zresztą upamiętniony w centrum Warszawy, nawet jeśli warszawiacy wypowiadają jego nazwisko w sposób, który by go mocno zaskoczył. Wilson był pod wieloma względami przełomowym prezydentem dla historii Ameryki, a jego kadencja odbiła się wyjątkowo mocno również na polityce zagranicznej kolejnych pokoleń Amerykanów. Na jej opisanie przyjdzie jednak czas kiedy indziej.

Warto odnotować także amerykańską pomoc dla odbudowującej się po wojnie Polski. Powołana przez Kongres Amerykańska Administracja Pomocy (*American Relief Administration*), wspierana przez amerykańskiego podatnika i prywatnych darczyńców, przekazywała zboże, tłuszcze, mleko, odzież i sprzęt techniczny potrzebującym w dotkniętych konfliktem krajach. 20% całości trafiło właśnie do Polski

– przede wszystkim do dzieci, repatriantów czy emerytów, ale również do żołnierzy uczestniczących w wojnie polsko-bolszewickiej, za co krytykowano szefa ARA Herberta Hoovera. Jeszcze w 1919 r. w Warszawie jedną z ulic w centrum nazwano imieniem Hoovera, który otrzymał także honorowe doktoraty Uniwersytetów Warszawskiego, Jagiellońskiego i Lwowskiego oraz Honorowe Obywatelstwo Rzeczypospolitej. Później, w 1929 r., ten sam Hoover został prezydentem USA, ale ze stanowiska już po jednej kadencji zmiótł go wielki kryzys gospodarczy.

USA w tym samym czasie przyczyniły się więc do powstania, uznania międzynarodowego Polski i udzielenia jej pomocy oraz zamknęły swoje granice na polskich imigrantów. Ta druga decyzja nie była jednak przecież niekorzystna dla polskiego narodu – dzięki niej więcej zdolnych Polaków pozostało w odrodzonej ojczyźnie. Administracja Wilsona uznała rząd II RP już 22 stycznia 1919 r., a więc przed Francją (24 lutego) i Wielką Brytanią (25 lutego). Premierem Polski był wówczas dobrze znany w Waszyngtonie Paderewski. To właśnie na ręce wybitnego pianisty, pełniącego jednocześnie obowiązki ministra spraw zagranicznych, oświadczenie o uznaniu polskiego rządu złożył szef amerykańskiej dyplomacji Robert Lansing.

PRL i uformowanie się współczesnej amerykanofilii

Jak wiadomo, historię odrodzonej Rzeczypospolitej przerwał wybuch II wojny światowej. Zajęcie Francji i zagrożenie Wielkiej Brytanii, a wcześniej katastrofa września 1939 r. i poczucie porzucenia przez te dwa państwa spowodowały, że wielu polskich patriotów zaczęło szukać oparcia właśnie w Stanach Zjednoczonych. To do Ameryki udał się choćby Ignacy Matuszewski. W czasie wojny i bezpośrednio po niej pojawiła się za oceanem kolejna fala Polaków, uciekających tam z oczywistych powodów politycznych.

Od momentu pierwszej utraty niepodległości pod zaborami kolejne pokolenia Polaków szukały wśród państw zachodnich protektora, który pomógłby nam przeciwstawić się zaborcom. Teraz to Waszyngton wydawał się wschodzącym mocarstwem, które będzie wywierać decydujący wpływ na losy świata po wojnie. Do podobnych wniosków dochodziło zresztą równolegle wielu działaczy ruchu syjonistycznego, wcześniej orientujących się często na Wielką Brytanię, a teraz przenoszących się za ocean. Ich starania okazały się ostatecznie skuteczniejsze – Izrael powstał, a Polska znalazła się w strefie wpływów sowieckich. 5 lipca 1945 r. administracja Harry'ego Trumana oficjalnie wycofała uznanie polskiego rządu na uchodźstwie, od tej pory utrzymując stosunki dyplomatyczne z komunistami, których legitymizacją do władzy były sowieckie czołgi.

Poczucie krzywdy z powodu „zdrady w Jałcie" nie zmieniło jednak faktu, że to USA stały się po 1945 r. jednoznacznym numerem jeden w świecie Zachodu. Tym samym były również jednoznacznym numerem jeden wśród państw, na których pomoc w zrzuceniu jarzma sowieckiej niewoli liczyli Polacy. To właśnie okres PRL wydaje się piszącemu te słowa decydujący dla uformowania się współczesnej amerykanofilii. Polscy patrioci, ciężko doświadczani przez komunistyczny reżim i podległość Moskwie, byli wyjątkowo podatni na zero-jedynkowy obraz świata, w którym dobra Ameryka, utożsamiana z wolnością i normalnością, przeciwstawiała się sowieckiemu „imperium zła".

Równolegle rozwijały się relacje rządów USA i PRL. W 1959 r. odbyła się pierwsza w historii wizyta wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce – tego debiutu dokonał Richard Nixon, zastępca Dwighta Eisenhowera. Nixon kilka tygodni wcześniej odwiedził Moskwę, w której starł się z przywódcą ZSRR Nikitą Chruszczowem podczas słynnej „kuchennej debaty". Chruszczow twierdził wówczas, że wnuki Nixona

będą żyły w komunizmie, a Nixon, że wnuki Chruszczowa będą żyły w wolności. Wiadomo, komu historia przyznała rację. W Warszawie Nixon spotkał się z pierwszym sekretarzem Władysławem Gomułką, a na ulicach tysiące Polaków witało entuzjastycznie jego limuzynę. Towarzyszący Nixonowi brat prezydenta, Milton Eisenhower, napisał w raporcie z wizyty, że Polska „wydaje się piętą achillesową obozu socjalistycznego".

W 1972 r. ten sam Nixon został pierwszym prezydentem USA, który odwiedził Warszawę. Republikański polityk przez całą swoją karierę był bardzo zaangażowany w politykę międzynarodową i wręcz specjalizował się w pragmatycznym, wyrachowanym szukaniu nieoczywistych partnerów, z którymi nawiązanie kontaktów byłoby opłacalne dla Waszyngtonu. Z tego w końcu wzięła się jego słynna wizyta w Chinach. Pod tym względem, jak zauważył później w swojej *Dyplomacji* szef dyplomacji Nixona, Henry Kissinger, Nixon był jedynym prezydentem od czasów wspomnianego wyżej Woodrowa Wilsona, który wyraźnie odchodził od jego idealizmu – choć jednocześnie czuł się związany jego dziedzictwem na tyle, że powiesił sobie portret tegoż Wilsona w gabinecie.

W Warszawie Nixon spotkał się z nowym przywódcą PRL, Edwardem Gierkiem, który dwa lata później, w październiku 1974 r., został pierwszym polskim przywódcą składającym oficjalną wizytę w USA w czasie pokoju. Wcześniej takie spotkania odbywały się jedynie podczas II wojny światowej – Amerykę odwiedził czterokrotnie Władysław Sikorski jako premier i raz Stanisław Mikołajczyk. Polskie nadzieje związane z USA podsyciła wreszcie nominacja Zbigniewa Brzezińskiego na stanowisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w gabinecie Jimmy'ego Cartera. Polska była trzecim krajem, który odwiedził Carter jako prezydent – wyprzedziły nas jedynie Wielka Brytania i Szwajcaria. Cartera również przyjął pierwszy sekretarz Edward Gierek. Ciekawostka – prosto z Warszawy prezydent Carter udał się do Teheranu, gdzie spotkał się z szachem Mohamedem Rezą Pahlawim. Była to ostatnia w historii wizyta amerykańskiego przywódcy w Iranie – rok później wybuchła rewolucja islamska. To właśnie za kadencji Gierka poluzowano Polakom możliwości wyjazdu na Zachód, w tym do USA. Wcześniej, w 1965 r., w Stanach Zjednoczonych dokonano przełomowych zmian w polityce migracyjnej, kończąc z kwotowym systemem, pilnującym narodowościowej spójności amerykańskiego społeczeństwa. Tym samym rozpoczęła się kolejna fala rozrastania się Polonii.

Apogeum entuzjazmu wobec Ameryki przypada w Polsce jednak na okres prezydentury następcy Cartera, Ronalda Reagana. Administracja Reagana mocno wsparła „Solidarność" przeciw PRL, któremu po wprowadzeniu stanu wojennego odebrano status państwa uprzywilejowanego w stosunkach handlowych z USA (*most-favored-nation*). Amerykański Kongres, rząd i CIA przeznaczyły miliony dolarów na wsparcie opozycji antykomunistycznej i budowę kontaktów w jej strukturach. CIA oprócz dawania opozycjonistom pieniędzy prowadziła również szkolenia dla nich czy wyposażała ich w sprzęt przydatny np. do działalności propagandowej. Jednocześnie Amerykanie dążyli do pokojowej transformacji, a w przyszłej Polsce znaczącą rolę przewidywali również dla ludzi systemu PRL. Charakterystyczne, że już w 1987 r. ponownie przyznano PRL status *most-favored-nation*. Później to prezydent George H.W. Bush, przez 8 lat wiceprezydent u Reagana, dążył do prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, przewidywanej początkowo na sześć lat. Przeciętny polski patriota-opozycjonista miał jednak kryształowy obraz amerykańskiego udziału w obaleniu PRL.

Wyidealizowany obraz Zachodu i przewodzącej mu Ameryki, a także zrozumiały odruch dążenia do zabezpieczenia się przed Moskwą, powodowały ogromne poparcie dla „westernizacji" czy wręcz „ameryka-

nizacji" Polski. Polacy chcieli czuć się częścią Zachodu, którego niezaprzeczalnym liderem był Waszyngton. Chcieli wobec tego słuchać amerykańskiej muzyki, oglądać amerykańskie filmy i seriale, kupować amerykańskie produkty, ubierać się jak Amerykanie. Na płaszczyźnie politycznej oznaczało to ogromne poparcie dla starań o wstąpienie do NATO i UE. Były to również zgodne cele praktycznie całej polskiej klasy politycznej po 1989 r. Dziś możemy odnieść wrażenie, że na tych celach myślenie znacznej jej części się wyczerpało. Skoro już dowartościowaliśmy się i czujemy się częścią wyśnionego Zachodu, to wystarczy trwać.

W marcu 1999 r. Polska oficjalnie stała się sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w ramach Paktu Północnoatlantyckiego. Później, w 2003 r., Polska była jednym z ledwie trzech państw, które dołączyły swoje siły zbrojne do amerykańskiej inwazji na Irak Saddama Husajna. Warto sobie uświadomić, jak bardzo osamotnieni byliśmy w tej decyzji na arenie międzynarodowej. W koalicji rozpoczynającej inwazję znalazły się USA, Wielka Brytania, Australia i Polska. A więc sami inicjatorzy operacji, dwa najbliższe Amerykanom kulturowo i politycznie państwa anglosaskie oraz... Polska. Busha nie poparło do tego stopnia dokładnie żadne państwo, które odzyskało niepodległość wraz z upadkiem żelaznej kurtyny, ani dokładnie żadne państwo kontynentalnej Europy Zachodniej. Polacy bardzo chcieli jednak być blisko Waszyngtonu i pokazać się jako jego najlepsi sojusznicy. To samo myślenie doprowadziło później do zgody na budowę w Polsce tajnych więzień CIA. Obie te decyzje podejmowali zresztą byli komunistyczni aparatczycy, tacy jak Aleksander Kwaśniewski i Leszek Miller. Wiadomo, że również w polskich służbach specjalnych po 1989 r. liczni byli funkcjonariusze starego systemu, którzy z prosowieckości nawrócili się na proamerykańskość.

Polski patriotyzm a rola moralności w polityce. Skąd zachwyt Trumpem?

Trudna historia Polski XVIII, XIX i XX w. spowodowała niestety zrośnięcie się naszego patriotyzmu z przecenianiem roli moralności w polityce. Utrata niepodległego państwa i wszystkie cierpienia, jakich nasi przodkowie doznali ze strony zaborców, wytworzyły w Polakach silne poczucie krzywdy. Prześladowania jakoś trzeba było znosić. Nic nie prowadzi człowieka do rozpaczy tak, jak bezsilność. Nikt nie chce cierpieć nadaremno. W takich okolicznościach w zrozumiały sposób podglebie znalazły w naszym kraju teorie o pozytywnej roli cierpienia i krzywdy w życiu narodu i wiara w to, że koniec końców Dobro zatryumfuje. Polska miała być Chrystusem (ewentualnie Winkelriedem) narodów – w ten czy inny sposób, ale jej cierpienie miało mieć sens i przynieść ostateczne zwycięstwo Dobra nad złem (albo i Złem, Carem lub inną figurą zsekularyzowanego Szatana). Karykaturalną postacią tej wiary była przepowiednia z Tęgoborza, wedle której po długich cierpieniach miała nastąpić sprawiedliwa klęska znienawidzonych zaborców, Niemców i Rosjan, oraz nagroda dla dzielnych Polaków, wokół których oczywiście zjednoczą się inne ciemiężone narody – „Warszawa środkiem ustali się świata". Finałowa zwrotka przepowiedni brzmi:

Powstanie Polska od morza do morza.
Czekajcie na to pół wieku.
Chronić nas będzie zawsze Łaska Boża,
Więc cierp i módl się, człowieku.

Tworzona w celu przetrwania i ku pokrzepieniu serc wizja przyszłego wynagrodzenia krzywd doznawanych przez polskich patriotów pod zaborami i w PRL stworzyła grunt pod wiarę w ostateczne zwycięstwo „sił dobra" i decydujące znaczenie czynnika moralnego w polityce. Stąd główny nurt polskiej

prawicy był w 1989 r. i później wyjątkowo podatny na mniej lub bardziej świadome myślenie kategoriami końca historii, które zazwyczaj było najatrakcyjniejsze dla liberałów i postępowców wierzących w ostateczne zwycięstwo końca historii.

Niewątpliwie radykalnym, ale poniekąd reprezentatywnym przykładem ślepego zapatrzenia polskiego patrioty w Amerykę jest książka Tomasza Sakiewicza, wieloletniego redaktora naczelnego „Gazety Polskiej" – *Testament I Rzeczypospolitej* z 2014 r. Sakiewicz przedstawia tam rzeczywistość w groteskowo wykrzywiony, skrajnie zero-jedynkowy sposób. Przykładowo, rozdział VII nosi tytuł *Czy Polska to Ameryka*? Sakiewicz pisze w nim: „w powstaniu USA dostrzegam wyraźny wpływ Polaków. Pierwsi osadnicy w Ameryce Północnej byli Polakami, nie tylko, rzecz jasna, ale było ich na tyle dużo, że kilka lat po założeniu słynnego miasta Jamestown (1607 r.) potrafili zorganizować bodaj pierwszy w historii tego kontynentu strajk hutników szkła. Drodzy Anglicy, nikt nie odbiera wam tego, że osadników przywiózł statek Jej Królewskiej Mości. Ale wasz kapitan John Smith uganiał się za swoją Pocahontas, w czasie kiedy moi rodacy ciężko pracowali, by coś z tej Ameryki wyszło". W rzeczywistości Smith przywiózł w 1603 r. ze sobą 6 (słownie: sześciu) Polaków. W 1619 r., podczas strajku, Polaków wraz z rodzinami było 50. O źródło informacji, że ta garstka ludzi pracowała ciężej niż tysiące osiedlających się w Nowym Świecie Anglików, lepiej nie pytać. Dalej w tym samym rozdziale Sakiewicz twierdzi też np., że Amerykanie, tworząc swoje państwo, „wzór czerpali z I Rzeczypospolitej".

Siła myślenia życzeniowego Sakiewicza jest nieprawdopodobna – a nie jest to przypadkowy rozentuzjazmowany internauta, ale jedna z najważniejszych postaci świata mediów polskiej prawicy. W tej samej książce Sakiewicz snuje natchnioną wizję, jakby wprost wziętą z przepowiedni z Tęgoborza – „Przyjdzie czas, że trzeba będzie przesunąć część europejskich instytucji do Jagiellońskiego Krakowa, gdzie są groby królów Polski, Węgier, Czech oraz władców Litwy i Rusi. Ten proces można spowalniać, jak robią to obecnie Niemcy, albo niszczyć siłą, tak jak Rosja, ale zatrzymać się go nie da". Sakiewicz wmawiał sobie – pisząc to za czasów Obamy, jeszcze przed Trumpem! – że Polska ma „zdolności polityczne, ale przede wszystkim niesłychanie atrakcyjny projekt kulturowy z czasów I Rzeczypospolitej i współpracy ludzi różnych narodów, religii i obyczajów, [który] zjednoczyłby ludy naszego regionu we wspólnym dążeniu do wolności. Ten projekt jest dzisiaj niesłychanie atrakcyjny dla polityki amerykańskiej, a także dla otaczających nas krajów (poza Niemcami)". Sakiewicz wierzył, że Obama „chce odtworzenia koncepcji jagiellońskiej", a Polska jest dla niego ważniejszym krajem niż „Niemcy, tradycyjny sojusznik USA w Europie, który w przemówieniu Obamy został całkowicie pominięty". Mowa o przemówieniu z czerwca 2014 r. I wtedy, i później, w lipcu 2017 r., dla wielu czołowych ludzi polskiej prawicy liczyły się piękne słowa, a nie konkretne czyny. Funkcjonowali i funkcjonują oni w świecie swoich marzeń, narkotyzując się wizją rzekomo nadchodzącego dnia ich ostatecznej realizacji, gdy Polska rzeczywiście siłą sprawiedliwości dziejowej „będzie od morza do morza".

Charakterystyczne również jest zdanie Sakiewicza, że wojna w Wietnamie została przez Amerykanów przegrana, bo „prowadzili ją bez dostatecznej determinacji". Widzimy tu dwa kluczowe elementy tego niezwykle szkodliwego sposobu myślenia o polityce. Po pierwsze, niezachwiana wiara w amerykańską potęgę. Po drugie, wiara w możliwość przemiany rzeczywistości siłą woli przez „siły Dobra". Gdyby tylko Amerykanie chcieli, mogliby wygrać w Wietnamie. Wcale nie ładowali tam bezskutecznie przez lata absurdalnych, często większych niż podczas II wojny światowej, ilości bomb i żołnierzy. Sakiewicz wróży też utrzymanie hegemonii amerykańskiej *ad infinitum*: „Na obszarze USA, Kanady i UE wraz z krajami sto-

warzyszonymi mieszka prawie miliard ludzi. Wytwarzana jest tutaj połowa światowego PKB. Wiele wskazuje na to, że rozpęd gospodarczy Azji nie będzie już aż tak wielki, by to szybko zmienić". Apogeum wywodu Sakiewicza jest być może twierdzenie, że „śmiertelny proces" upadku Rosji jest już „nieodwracalny" i jest „kwestią czasu", kiedy „słabnąca Rosja" będzie „musiała" wskazać winnych „zamachu smoleńskiego". Zmusi ją do tego sojusz Polski, Ukrainy i USA.

Oczywiście nie wszyscy publicyści są aż tak oderwani od rzeczywistości i myślą podobnie życzeniowo. Jednak Donald Trump rzeczywiście był dla wielu przedstawicieli głównego nurtu polskiej prawicy powtórką pięknych wizji z dawnych lat – Reaganem 2.0 lub, jeśli ktoś woli, Napoleonem 5.0. Patrzyli na niego i widzieli to, co chcieli widzieć. Tak jak Ignacy Rzecki z *Lalki*, personifikacja poczciwego polskiego patriotycznego myślenia życzeniowego, który marzył o księciu Napoleonie IV, wspominając swoją wojowniczą młodość z czasów Wiosny Ludów. Przemówienie Trumpa w Warszawie pozwoliło na chwilę ponownie uwierzyć, że marzenia się spełniły, czas wyczekiwania się skończył, a Zachód znów ma silnego przywódcę, który przywróci go na drogę „tradycyjnych wartości", najlepiej odwołując się do Reagana i Jana Pawła II. Polacy wreszcie poczuli się docenieni przez przywódcę Zachodu, uroczyście przyjęci w jego szeregi, a nawet postawieni jako przykład dla innych narodów.

Rzeczywistość okazała się jednak brutalna. Trump poległ. Nie nastąpił „nasz" koniec historii. Nie tylko zgniły Zachód z demoniczną Angelą Merkel na czele odrzucił amerykańskiego prezydenta. Odrzucili go koniec końców także właśni wyborcy. Rzeczywistość doczesna kolejny raz okazała się niedoskonała.

Nie nastąpił więc „nasz" koniec historii z punktu widzenia głównego nurtu polskiej prawicy. To pierwsza lekcja dla tego środowiska i każdego innego, które dojdzie w Polsce do władzy. Tak jak historia USA nie wypełniła się w trumpizmie, tak historia Polski nie wypełniła się w kaczyzmie. Gdyby jeszcze Trump przegrał z lewicowym rewolucjonistą mającym atrakcyjną wizję w rodzaju Sandersa, dałoby się to wytłumaczyć. Ale Trump przegrał z nudnym, centrowym aparatczykiem. Z personifikacją bezideowego establishmentu, który rządził Ameryką przez poprzednie dekady.

To jest druga lekcja – dla wszystkich nurtów prawicy w Polsce i na świecie, które z nadzieją przywitały w 2016 r. wybór Trumpa. Szczególnie tej najbardziej identyfikującej się jako antyestablishmentowa. Tryumf Trumpa niewątpliwie był wielkim wydarzeniem. Negacją postępowego determinizmu. Zamiast wyczekiwanej „pierwszej kobiety w Białym Domu" dostaliśmy wulgarnego samca alfa samoidentyfikującego się jako „amerykański nacjonalista". Lud pokazał poprawności politycznej środkowy palec. Zwycięstwo Trumpa dało wiarę setkom środowisk szeroko pojętej kontestatorskiej prawicy na całym świecie – wszyscy zobaczyliśmy, że postępowy walec da się zatrzymać.

Nie nastąpił jednak koniec także historii *à rebours*. Wielu prawicowców zachłysnęło się zwycięstwem Trumpa. Główny ideolog trumpizmu, Steve Bannon, snuł wizję nowej polityki, w której liczą się tylko „prawicowi populiści" *à la* Trump i „lewicowi populiści" *à la* Sanders. Wielu chciało wierzyć, że oto nastąpił historyczny moment – populus obudził się i zrzucił liberalne jarzmo. Zwykli ludzie zrozumieli, że elity są ich wrogami, a do starego świata z lat 1991–2016 nie ma już powrotu. Nie nastąpił liberalny koniec historii, ale wielu uwierzyło w jego odwrotność – „populistyczny" koniec historii. Tryumf Bidena to zimny prysznic. Stary centrowy aparatczyk pokonał po kolei Sandersa i Trumpa. Realista wie jednak, że także to zwycięstwo elit nad kontestatorami jest tylko kolejną bitwą w wojnie, która nie będzie miała naturalnego końca.

Teraz czas na trzecią lekcję. Trump nie przegrał, bo był groźnym populistą z radykalną agendą. Na porażkę Trumpa złożyło się wiele czynników, na których rozważenie przyjdzie czas. Na dziś wydaje się jednak, że oprócz pandemii (czynnik zewnętrzny poza jego kontrolą) zdecydowało to, że był nieudolny. Nie wypracował spójnej agendy ani zgranego zespołu ludzi gotowych ją systematycznie realizować. Okazał się świetny jako trybun ludowy, orator i fenomen kulturowy, ale mierny jako prezydent. Dlatego najgorsze, co nieestablishmentowa prawica może zrobić, to powrócić do bycia „grzeczną" i „umiarkowaną". Należy przeprowadzić dokładną analizę tego, co było właściwe, a co niewłaściwe w programie Trumpa oraz co jako prezydent zrobił dobrze, a co źle. A następnie rozważyć, co wynika z tego dla nas – kontestatorów *status quo* funkcjonujących w innym kraju i uwarunkowaniach. Nie dajmy się jednak komentatorom z głównego nurtu zamknąć w postpolitycznych zaklęciach w rodzaju „Trump przegrał, bo dzielił ludzi", „był po niewłaściwej stronie historii" albo „był zbyt radykalny, podczas gdy wybory wygrywa się, idąc do centrum".

Odwrót od Ameryki?

Porażka Trumpa była wydarzeniem przykrym również dla polskiego rządu, który przez poprzednie 4 lata sporo zainwestował w bliskie relacje z 45. prezydentem USA. Po zmianie administracji w Białym Domu mogliśmy zaobserwować intensyfikację ruchów polskiej dyplomacji w kierunku Pekinu. Rząd PiS zaczął być nawet w przedziwny sposób oskarżany przez publicystów takich jak Witold Jurasz o zerwanie sojuszu z USA. Na dziś trudno powiedzieć, jak będzie w przyszłości wyglądać polska polityka zagraniczna. Wydaje się jednak, że największą korzyścią z porażki Trumpa może być właśnie przyspieszenie procesu mentalnego upodmiotowienia się polskich elit politycznych. Kolejne osoby zaczynają zdawać sobie sprawę, że wzorce myślenia ukształtowane w okresie PRL są już dziś anachroniczne.

Świadczą o tym wypowiedzi takie jak ta prof. Zbigniewa Krasnodębskiego, jednej z ważniejszych postaci intelektualnego zaplecza PiS. Prof. Krasnodębski powiedział, że „odwrót z Afganistanu to wielka klęska USA i kolejny dowód słabości tego kraju". „Porażką zakończyła się próba zbudowania tam stabilnego rządu i demokracji. To kryzys idei eksportowania wartości i stylu życia Zachodu na inne kontynenty i kolejny dowód na słabość Stanów Zjednoczonych. Nie jest to też pierwsza klęska Waszyngtonu. Wystarczy sobie przypomnieć Syrię czy Libię". Krasnodębski zauważa również, że „ta tradycyjna Ameryka, z wartościami takimi jak patriotyzm, religijność, wytrwałość, gotowość do walki za swój kraj, odeszła w przeszłość. Dziś społeczeństwo amerykańskie jest bardzo spolaryzowane, zróżnicowane, zatomizowane i – w wielkich metropoliach – zblazowane. Także elity amerykańskie to ludzie o zupełnie innych postawach życiowych niż jeszcze dwie czy trzy dekady temu, kiedy ciągle były żywe tradycyjne wartości amerykańskie". Intelektualista przewiduje, że „tendencje izolacjonistyczne będą się w USA pogłębiały w najbliższych latach".

Głęboki kryzys wewnętrzny USA wspomniany tu przez Krasnodębskiego szerzej opisałem w swoim drugim artykule zamieszczonym w tym numerze „Polityki Narodowej". Przewartościowanie stosunku do USA i Unii Europejskiej powinno łączyć się z szeroką refleksją na temat tego, jak Polska ma się odnosić do politycznego, ale również kulturowego Zachodu jako takiego. Musimy wyzwolić się z postkolonialnego stosunku do państw i środowisk, które nie mają nam dziś w warstwie aksjologicznej do zaoferowania dokładnie nic. Realizacja wzorców (anty)cywilizacyjnych, aktywnie stawianych nam dziś za wzór przez amerykańskie firmy i amerykańską dyplomację, oznacza bowiem ni mniej ni więcej, tylko destrukcję pol-

skiej wspólnoty narodowej.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=T6Hc9nQJ1yQ

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/koniec-amerykanskiego-mitu-a-sprawa-polska/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć